

Farsa poszerzona

Kilka lat temu w poważnej gazecie autorka recenzji w jednym z pierwszych zdań przyznała z rozbijającą szczerością, że nie lubi oglądać komedii w teatrze. Potem była eksplikacja (bo reżyserzy wystawiają je niedbale, a widzów bawią proste chwytły) i finalna ocena (wiadomo, niekorzystna). Jaką niechęć muszą zatem budzić farsy. Oczywiście mogą, zwłaszcza gdy są źle wystawione. Co znaczyłoby „źle”? Nieśmiesznie – lub za śmiesznie (przez odwoływanie się do tego co niskie, co odbieramy jako żenadę). Z pretensją – do poszukiwania nowego języka farsy lub do pozostawiania wiernym tradycyjnym wzorcom. Bez pomysłu – bo „wszystko jest w tekście” (ewentualnie z nadwyżką pomysłów własnych). A przecież farsa, także w oczach jej admiratorów, to goły sceniczny mechanizm, czyste dzianie się pozbawione sfery, powiedzmy podniosłe, intelektualnej, często odrzucającej ostentacyjnie. (Nic też jak farsa nie prowokuje do domorosłego teoretyzowania na swój temat.) Jak to z farsą jest dobrze wie Teatr Powszechny, od lat celujący w dużej mierze w komediowo-farsowym repertuarze (poszerzanym przez spektakle teatru w dobrym znaczeniu popularnego). Często robiący to z powodzeniem, choć łatwo też przypisać konkretne grzeszki określonym tytułom, na przykład zbyt niski humor (obracający się wokół pewnej części ciała) był nieszczęsnym leitmotiwem „Hotelu Minister”, który trzy sezony temu zrealizował Giovanni Castellanos. Teraz reżyser ten ponownie sięgnął po tekst Raya Cooneya. Ale „Wszystko w rodzinie” to przykład dobrej farsy, czyli po prostu dobrego teatru.

Pomysł Castellanos to, można powiedzieć, farsa „poszerzona”. Poszerzenie odbywa się przez dodanie w określonym celu cech innych gatunków. W „zwykłej” farsie na przykład zawód, jaki wykonuje X nie ma dla widza większego znaczenia, to informacja poboczna, X może być zarówno monterem sieci kablowej, jak i bukmacherem – liczy się, że X ma romans z Z, o czym nie wie S, dlatego Z podczas nagłego spotkania z S przedstawia się jako siostra X... i wiadomo jak to dalej się plecie. Zdarzenia są pretekstowe, sieci powiązań między postaciami tylko naszkicowane, między widzami a postaciami – dystans.

W farsie „poszerzonej” postaci są dociążone, a relacje nieco pogłębione. Doktor Mortimore, grany przez Janusza Germana, to poczciwy facet przed pięćdziesiątką, lekarz już z pewną pozycją. Właśnie stoi na progu życiowego awansu – czy zajmie wysoką pozycję w zarządzie londyńskiego Szpitala św. Andrzeja, zależy od jego wystąpienia podczas konferencji lekarzy, ćwiczy więc przemowę, cytuje tekst. Rozumiemy te uczucia, trzymamy za niego kciuki – zdaje się, że da radę. Przygotowania przerywa i komplikuje pojawienie się Jane Tate (Beata Ziejka), która przed osiemnastu laty jako pielęgniarka romansowała z Mortimorem. Dziś to kobieta nieco wycofana, skromna, melancholijna, zamożnością jednak daleka Mortimerowi i jego żonie (Marta Jarczewska). Proszę wybaczyć te charakterystyki – one jednak nie są podane na tacy, to widz musi (może!) dopowiedzieć sobie z niuansów. Zasługą aktorów i reżysera jest, że ich postaci skracają dystans z widzami i otwierają się na taką nieco szerszą interpretację, podaną wcale nie wprost i bez przesadnego „wchodzenia” w rolę.

„Wszystko w rodzinie” zaczyna się zatem jak komedia czy, używając terminologii filmowej, obyczajówka, a w strukturę farsy wchodzi wraz z wyjaśnieniem przez Tate powodów pojawienia się – w recepcji, spisywany przez policjanta, czeka owoc romansu z Mortimorem, pełnoletni, sprawiający pewne kłopoty wychowawcze syn Leslie (Damian Kulec - szkoda, że to tak mało spójna, grana od sceny do sceny rola), któremu matka do niedawna wmawiała, że jego ojciec zginął tragicznie w Himalajach. Zresztą Ziejce udaje się uczynić tego rodzaju historie dość wiarygodnymi. Dalej – chce się powiedzieć – jest już jak w każdej dobrze poprowadzonej farsie. Sekwencje komicznych pomyłek i zmyłek doprowadzane są przez aktorów sprawnie do punktu kulminacyjnego,

rozładowywane, i napędzane od nowa, bez przesadnych szarż. Castellanos wyreżyserował to precyzyjnie, lekko i na swój sposób czytelnie – obserwowanie jak aktorzy prowadzą ów mechanizm sprawia przyjemność, wyrzutów sumienia z powodu oddawania się rozrywce brak. W finale uczyniony jest zresztą ciekawy metateatralny (metafarsowy) gest – wspomniany policjant (Artur Majewski) zbiera lekarzy i gości szpitala i przechadzając się szeregiem pytań obnaża absurd gier, jakie gatunek ten narzuca na postaci.

Farsa żywi się wyraźnym rytmem, ale w „Wszystko w rodzinie” urozmaica go kilka aktorskich perełek, takich jak nerwowo chichocząca i podreptująca pielęgniarka Barbary Lauks czy sir Drake, dyrektor szpitala, grany przez Piotra Lukasa. Drake to rola epizodyczna, ma tylko kilka wejść, w których jest coraz bardziej oszołomiony alkoholem i bodaj na tym stopniowaniu stuporu, skonfrontowanego z kolejnymi oczekiwaniami wobec Mortimore’a, bazuje w jego przypadku humor. Jest też Michał Lecheta jako Connolly, młody lekarz (rezydent?), postać o niedookreślonej orientacji seksualnej (tak, trafia się tu kilka mało wyszukanych żartów „seksualnych”, także z udziałem Lesliego) w zapamiętaniu oddający się przygotowywaniu amatorskiego bożonarodzeniowego przedstawienia. Jest wreszcie Artur Zawadzki, aktor o dużym potencjale dramatyczny, tutaj jako Hubert Bonney – tak bliski kolega Mortimore’a, że godzi się podszywać pod niego (a także – w wobec policjanta – pod pielęgniarkę). Kilkoma prostymi środkami: przesadna ruchowa aktywność, zwłaszcza przedramion, nieco pochylona sylwetka, tubalny głos, Zawadzkiemu udało się stworzyć postać jak dynamit – roztrzepanego, gapowatego, łatwo poddającego się różnorodnym emocjom eks-prymusa, którego życie ogranicza się do pracy. Jest też nestor tej sceny, Michał Szewczyk, w roli pana Lesliego, ucieśznego emeryta, który nie może rozstać się z uciechami życia.

Akcja została osadzona w nieprzekombinowanej scenografii autorstwa Wojciecha Stefaniaka mającej ten ważny walor, że kolejne pary drzwi (wiadomo, nadużywanych, jak to w farsie) nie rzucają się w oczy – są różne rozmiarami i budową, rozmieszczone w kilku ściankach. Wszystko jest podporządkowane zasadzie, by było prosto, celnie, bez krygowania się. Można to polubić.

Łukasz Kaczyński

*oglądane we wtorek 16 I